ROK I. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM I SZKOŁA

№ 2. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 9 lutego 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA.



RODZICE CHRZESTNI I GOŚCIE W CZASIE UROCZYSTOŚCI POŚWIĘCENIA SZTANDARÓW W SZKOLE PRZY UL. CZERNIAKOWSKIEJ.

L. BARAŃSKA.

Z ŻYCIA NASZYCH SZKÓŁ.

Cudny, słoneczny dzień jesienny! W okolicy Czerniakowskiej i Ułańskiej spotykam gromadki przechodniów w towarzystwie dzieci w wieku szkolnym. Wszyscy odświętnie ubrani, śpieszą przeważnie w jednym kierunku i... na pewnym odcinku ulicy nikną za bramą parkanu.

Robię przypuszczenie, że tam, zapewne, jest również cel i mej drogi. Tak, nie omyliłam się. Za parkanem spostrzegam ogromny dwupiętrowy gmach. Podchodzę bliżej bramy i... widzę pięknie udekorowane wejście. Wchodzę razem ze wszystkiemi na pierwsze piętro do sali gimnastycznej, zamienionej w dniu 17 listopada 1928 r. na kaplicę szkolną.

W dniu tym dzieci, nauczycielstwo i rodzice dziatwy szkolnej, przeżyli uroczysty moment. Odbyło się, bowiem, poświęcenie gmachu szkolnego.

W sali gimnastycznej, zalanej potokami jesiennego słońca licznie zgromadzili się rodzice, potwierdzając swą obecnością zrozumienie doniosłego celu szkoły, jako placówki szerzącej oświatę i kulturę w tej dzielnicy. Prócz nich władze oświatowe i magistrackie oraz zaproszeni goście.

Na scence, przystrojonej zielenią i kwiatami, ustawiono prowizoryczny ołtarz. Nad wnęką scenki portrety: Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego, Marszałka Józefa Piłsudskiego oraz pierwszego polskiego Ministra Oświaty ś. p. Ksawerego Praussa.

Wygląd sali osobliwy! Ni to kościół, ni sala publiczna! A nastrój dziwnie podniosły i świąteczny!

Wchodzą dzieci. Zajmują przeznaczone dla siebie miejsca. Wkrótce proboszcz miejscowej parafji ks. Marceli Ryniewicz, odprawił nabożeństwo, po którem dokonał poświęcenia gmachu. W czasie nabożeństwa chór dziatwy szkolnej wykonał pieśni religijne.

Ale oto małe zamieszanie na sali! Oczy wszystkich skierowane ku wejściu. Wszyscy kogoś wypatrują.. To przybyła pani Marszałkowa Piłsudska, która będzie chrzestną matką sztandarów obu szkół. Następują powitania i znów zalega cisza. Wszyscy oczekują dalszego ciągu uroczystości.

Na stole położono dwa sztandary, ufundowane przez opieki szkolne. W koło nich zgromadzili się rodzice, któremi byli w szkole nr. I: p. Marszałkowa Piłsudska i p. Antoni Anusz, posłanka Praussowa i poseł J. Smulikowski, p. Sielska — nauczycielka i p. Wilk—opiekun główny szkoły.

W szkole nr. II: p. Marszałkowa i prezydent Słomiński, posłanka Praussowa i poseł Jaworowski, p. Mondschein nauczycielka i p. Chmielewski członek Opieki Szkolnej.

Po poświęceniu sztandaru przemawiali: p. Anusz i p. Jaworowski.

Gmach szkolny posiada 26 sal wykładowych, prócz tego cały szereg sal pomocniczych: do nauki przyrody, śpiewu, rysunków, robót, sale warsztatowe, jadalnię etc. Jest także pomieszczenie dla szkoły gospodarstwa domowego, w której uczą się dziewczynki kl. VI i VII szkół miejscowych i z 5 klas szkół sąsiednich.

WIKTOR BŁAŻEJEWICZ.

GŁODNE DZIECI.

Świat dla dziecka — to wszystko co je otacza.

Niedopałek papierosa...

Dla nas to brudny, niehigjeniczny śmieć, dla 4-letniego dziecka to:

Armata, komin w domku z piasku etc...

— Pu! Puw! Puuu!..—strzela mały Janek z niedopałka i zabija lwa na pustyni.

— A fe! Rzuć to natychmiast! — krzyczy matka.

Wyrywa niedopałek i rzuca na ziemię.

Wyrwała armatę, wyrwała komin i co będzie teraz z domkiem?.. Wyrwała strzelbę—lew zje Janka!

Janek płacze. Nie można go uspokoić, bo odebrano mu to, czem tylko co żył, interesował się, co mu było najdroższe.

Trzeba zrozumieć dziecko w chwili jego zabawy.

Nie można wchodzić w jego duszę z tem, co nas zajmuje, co dla nas jest zrozumiałe.

Trzeba czemś mu zastąpić świat jego zainteresowań, a nie odbierać.

Bo inaczej dzieje się dziecku krzywda.

A świat zainteresowań 4-letniego Janka zmienia się z błyskawiczną szybkością.

Za chwilę Janek bawi się brudnym patyczkiem na.... śmietnisku.

— Co za nieznośne dziecko!—skarży się matka.

* * *

Jechałam z Pruszkowa. W wagonie naprzeciwko mnie siedział 7—8 letni chłopczyk, a przy nim matka.

Dziwny chłopczyk. Głowę miał poowijaną w najrozmaitsze gazety. Zakłopotana matka co raz poprawiała gazety.

W tym samym przedziale biegała mała dziewczynka. Z wielkiem zaciekawieniem patrzyła na chłopczyka.

— Mamusiu, dlaczego on ma taką głowę? — zapytała cicho jakiejś pani.

— Nie wiem.

— Czy go boli?

Chłopczyk niecierpliwie kręcił się.

— A siedźże spokojnie — gniewała się matka i poprawiała gazety.

— Dlaczego pani tak go owinęła w gazety? — zapytałam.

— Ale... Wstyd opowiadać... Proszę pana, bawił się z chłopcami na śmietnisku w strażaków. Znalazł tam dziurawy nocnik i wpakował go na głowę. Nie mogę teraz zdjąć. Jadę do lekarza do Warszawy, nie wiem, już może lepiej do ślusarza...

Śmiejecie się.....

Ze sznurem w ręce zamiast sikawki, z nocnikiem na głowie zamiast hełmu wlazł na parkan i walczył z ogniem...

Nie miał innej zabawy...

* * *

Widziałem 10-letniego Michasia. Wpadł do domu zdyszany, podniecony.

— Gdzieś ty był? — pyta matka. — Dlaczego nie przyszedłeś na obiad? Głodny jesteś?...

— Nie...

— Jakto nie! Od rana nic nie jadł!...

— Mamusiu, czy ja mogę z Władziem iść na młyn?

— Ale wpierw zjedz...

— Nie chcę.

Zawinął się i tyle go widziano.

* * *

Byłem w krainie głodu.

Widziałem z okna wagonu dzieci wiejskie z rozdętemi brzuszkami, biegnące szukać na torze kolejowym skórek, obierków etc... wyrzuconych z pociągu.

Gdy słyszę albo widzę dzieci, bawiące się niedopałkiem papierosa w strażaków, na śmietnisku... przypominają mi się tamte dzieci.

Głodne....

Głód wiedzy, głód wrażeń, pragnienie poznania świata otaczającego — wszystkiego — wszystkiego — wszystkiego — zrozumienie, co się wokoło dzieje jest większe w dziecku niż głód i ból fizyczny.

Trzeba złagodzić ten głód, zaspokoić dziecko. Wtenczas lepiej się rozwija, lepiej rośnie.

Trzeba pamiętać, że:

Dziecko wszystko chce zrozumieć, wszystko chce wiedzieć.

JANINA STRZELECKA.

NIE ODDAJE CAŁEJ RESZTY...

Tak postanawia Bronek, wracając ze szkoły. Rozważa to sobie powoli i nawet rozsądnie. Po tym wstydzie, jakiego doznał dzisiaj w szkole, kiedy to pani od rysunków kazała mu iść do domu, bo już niewiadomo po raz który nie miał ani gumy, ani ołówka, tak sobie właśnie postanowił. Jeszcze teraz na myśl o złośliwym śmiechu, jaki się rozległ w klasie, kiedy z temi poszarpanemi książczynami pod pachą wychodził na korytarz, jeszcze teraz oblewa się rumieńcem, a potem blednie raptownie. Zęby zaciskają się same, a w oczach świeci niedobry błysk.

To już nie ten potulny, spokojny i niemrawy Bronek. Z godziny na godzinę dokonała się w nim zmiana. To już nowy Bronek obmyśla szczegółowo, jak trzeba będzie radzić sobie samemu, aby nigdy już, ale to nigdy więcej nie stać się pośmiewiskiem klasy. Bronek z coraz większym spokojem wewnętrznym tłomaczy się przed sobą i umacnia w postanowieniu, musi sam sobie radzić bo już na nikogo liczyć nie może.

Mało to razy prosił o te kilka, czy kilkadziesiąt groszy? Mało to razy, wie to dobrze, solennie na nie zasłużył?

Przecież pomaga matce we wszystkiem, nieraz to i lekcji nie odrobił a sprzątnął, ziemniaki oskrobał, podłogę wyszorował, dzieciaka pokołysał.

Bronek wie, że mógłby mieć o wiele lepsze stopnie, ale bo to ma czas odrobić lekcje, jak się patrzy? A ile to razy stalówka stara, że i napisać ładnie wcale nie można, ile to razy braknie paru groszy na porządny zeszyt i kupić trzeba ladajaki i atrament aż się rozlewa po cienkim papierze, ile to razy uśnie ze zmęczenia nad książką, jak mu każą to lub owo zrobić, a do lekcji siądzie nieraz o ósmej i później.

Rozpamiętywa to sobie teraz wszystko, i jak powiedziałam, z góry się rozgrzesza. Jak tam codzień przy zakupach tej dziesiątki nie odda, to zbierze sobie z parę złotych na miesiąc i będzie miał na wszystko, co mu potrzeba.

Trochę go jeszcze niepokoi myśl, że będzie kłamał, bo matka zawsze się pyta po czemu to, a tamto, ale trudno. Jeszcze się trzepocze w sumieniu Bronkowem i ta niepewność, czy to nie krzywda dla nich, tam w domu, te grosze, zabierane dla siebie—ale nie.

I to wytłomaczył sobie malec, wytłomaczył to sobie prostem zapytaniem: „a na wódkę to mają“? A na papierosy, a na kino... A zresztą nie jego wina, że musi chodzić do szkoły, a skoro musi chodzić do szkoły to musi mieć to, czego tam od niego wymagają. To tak jak ojciec w warsztacie bez piły, bez hebla, bez śrubstangi nie da sobie rady. Aż się uradował Bronek, że mu to porównanie na myśl przy-

szło, bo i pewnie! Czy to kto widział, aby praca szła bez narzędzi? A te jego gumy, ołówki, zeszyty, no to właśnie narzędzia do pracy.

Myśli też sobie Bronek, że jak przestanie tak ciągle turbować się o te swoje sprawy, to będzie miał swobodniejszą głowę do nauki, lepszą cenzurę no i tem samem lepsze świadectwo, jak ukończy szkołę. Bronek rozumuje, jak człowiek dorosły, a to dlatego, że mały Bronek zna o wiele lepiej życie, niż tysiące jego rówieśników, tych, którym wszystko łatwo przychodzi, którzy wszystko mają.

A to dzisiejsze bolesne przeżycie wyrobiło go jeszcze bardziej, do pewnego stopnia zakończyło okres jego dziecięctwa, pomnożyło szereg jego doświadczeń o tę jeszcze pewność, że widocznie nie można zawsze iść prostą drogą.

BOHDAN PAWŁOWICZ.

Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE.

KINO U NAS I ZAGRANICĄ.

W Havre (Francja).

Duże robotnicze kino w dzielnicy portowej.

Przedstawienie jeszcze się nie zaczęło.

Szary tłum czeka cierpliwie na ulicy.

Dzwonek nad rzęsiście oświetlonem wejściem dzwoni uporczywie, oznajmując chętnym, że jeszcze czas kupić bilety.

Tłum hałasuje, rozmawia w głos, krzyczy, ale się nie śpieszy i nie złości, kawalerowie trzymają swoje damy wpół i nikogo nie gorszy, że parki te często gęsto całują się zgoła namiętnie i bez odrobiny żenady.

Nagle portjerzy otwierają szeroko wejścia. Widzowie wchodzą, sadowią się i gadają, gadają bezustanku. Tak popularnego u nas „tłoczenia" siłą, przepychania, wymyślań, uwag zgryźliwych, ani nie zobaczy się, ani usłyszy.

Wszyscy śmieją się, żartują, kpią i są weseli, boć przyszli tu na zabawę, a nie na irytację!

Voila! Dzwonek milknie, sala ciemnieje. Muzyka zaczyna brzdąkać. Na ekranie jako wstęp, ukazuje się ogłoszenie fabryki mydeł.

— To gospodarz w trosce o swoje kino, monsieurs! — woła ktoś głośno — po przedstawieniu nie może się dość nawietrzyć sali!

Wszyscy wybuchają śmiechem.

Na ekranie po ogłoszeniach ukazuje się pierwszy obraz, który trwa dobrą godzinę, potem drugi „dramat", i trzeci „wesoły".

Przerwy między obrazami są bardzo krótkie.

Publiczność się bawi z całego serca. Sypią się docinki, żarty, wyrazy zachwytu. Gdy „czarny charakter" zaczyna zanadto broić — sala tupie i gwiżdże. Ten i ów odgraża się złoczyńcy.



UNIWERSYTET PARAŃSKI W CURITYBA.



Główna ulica w Curityba: Quinze de Novembro.

Zato gdy, bohater zwycięża, sypią się rzęsiste brawa i wiwaty, że sala drży i muzykę, nawiasem mówiąc dość kiepską, słychać ledwie, ledwie.

Podczas „ekranowych pocałunków" na widowni ogólne cmokanie i zadowolenie.

Wszystko to jednak, bez cienia brutalności, ani chamstw, gdy kto powie dowcip, powie go lekko i wesoło na to, aby innych i siebie rozśmieszyć, a nie na to, aby komuś dokuczyć.

Ludzie tam umieją się bawić i lubią się bawić po pracy, a całe ich swobodne lecz bardzo poprawne i miłe zachowanie pochodzi z wielkiej skarbnicy narodu, którą jest prawdziwa kultura.

W Curityba (Brazylja).

Stotysięczne miasto, stolica Parany, niema stałego teatru, to też najbardziej „przebojowem" i jedynem widowiskiem miasta jest kino.

W lepszych, zasobniejszych kinach na głównej ulicy „Quinze de Novembro" zbiera się cała śmietanka miasta, przedstawienia są dość krótkie (2 godziny) i publiczność „robi" dobrze wychowanych.

Więc siedzą wszyscy sztywni i nadęci i bardziej uważają na bliźnich, niż na ekran.

Inaczej dzieje się w kinach mniej „eleganckich", zato większych i takich do których chodzi każdy.

Bogaty, zamożny, biedny, nędzarz, biały, czerwonoskóry, czarny, mulat, metys, cywil, żołnierz i policjant.

Każdy, każdy, każdy!

Można sobie użyć kina, ile tylko dusza zapragnie.

Za jednego milreisa (około 1 złotego) wolno siedzieć od g. 5-ej (w niedziele od 2-ej), aż do końca.

Co zaś najważniejsze, przez cały czas wyświetlają coraz to inny film i codzień jest zmiana programu.

Kinomani Warszawy, blednijcie z zazdrości!!

Publiczność zaś, choć tak kolorowa, jest uprzejma i miła.

Kobiecie zawsze ustąpi miejsca, choćby najokropniejszy czarny oberwaniec. Jeszcze się uśmiechnie i powie:

— Façe o favor sehnorita! (Pani będzie łaskawa!)

Nikt się nie pcha, bo i poco? Paciencia! (cierpliwości!).

Gdy kto jest grzeczny i uprzejmy, bez obawy może chodzić do tego kina i siadać gdzie chce, o ile niema nazbyt wrażliwego powonienia, lecz gdy „gringo"[1]) ośmieli się być nieuprzejmym, to jest takim jakim jest na codzień w swojej ojczyźnie, łacno wywołać może bójkę, a w niej, co kto woli: albo poderżną gardło brzytwą trzymaną w palcach u nogi, albo rozprują brzuch, dźgną nożem, czy podziurawią kulami wielkich, niby armat, „Szmidtów."

Za tak wielki grzech poczytywaną jest w tym kraju nieuprzejmość!!!

Poza temi groźnemi momentami sala bawi się jak szalona i klaszcze przy każdej okazji, a gdy jakiś ustęp filmu wszystkim się podoba, hałasuje tak długo, dopóki go mechanik niepowtórzy.

W pewnym mieście (zgadnijcie jakiem?).

— Czego się pani pcha?

— Dureń!

— Takich mądrych, to dużo się znajdzie!

— Mamo, mamo, duszą mnie!

— Jak pani źle, niech pani idzie do teatru, do loży, widzicie ją, hrabiankę!

— To moje miejsce!

— Odczep się pani, mówię po dobremu!

Zmęczony człek zziajany, wymaglowany i wykuksany siada nareszcie, gdzieś w kącie poza filarem, zdala od towarzystwa, z którem przyszedł i z zasady przed sobą ma wroga, poza sobą pana, który czuje do niego antypatję, a po bokach dwie nadęte matrony, które się przed jego nosem częstują marmoladkami, a przytem złe są na cały świat, jak te osy.



Kino w pewnem mieście.

Gdy zaś rozpocznie się przedstawienie, a nieszczęsny mechanik na sekundę omyli się i przez tę sekundę będzie coś niewporządku, istny huragan dzikich tupań podniesie się na sali. Ale nie z wesołości, o nie, tylko z pasji, szewckiej pasji, bo:

— Za co to płacą idjocie!

I przyjemnie jest i ładnie!!

[1]) Cudzoziemiec — obelżywe słowo.

WANDA MELCER-SZTEKKEROWA.

ŻYCIE NA WIELKIM STATKU TRANSATLANTYCKIM.

A przedewszystkiem... Tak, zacząć muszę tak samo właśnie, jak w mojej nowej książce „Nad Srebrną Rzeką”, gdzie piszę o całej podróży do Argentyny. Dalej jednak nastąpi już coś innego.

W piątek dwudziestego piątego czerwca 1926 r. wyjechałam z Paryża, dworzec Saint Lazare, o godzinie 10,55 zrana, do Cherbourga, skąd odchodził wielki statek, którym miałam jechać do Ameryki. Proszę mi też przebaczyć małą dygresję natury osobistej, którą teraz zrobię,—przebaczyć choćby z tego względu, że wogóle tych osobistych dygresyj będzie bardzo dużo. Otóż więc, kiedy byłam dzieckiem, panowanie nad sobą wydawało mi się być szczytem tego, co człowiek może osiągnąć. Ćwiczyłam się specjalnie w utrzymywaniu w nieruchomości muskułów twarzy, którym nie wolno było wydać moich wzruszeń, oraz w spokojnem trzymaniu rąk przy chodzeniu. Wtedy właśnie, bowiem, wyczytałam gdzieś, że człowiek, który idąc macha rękami, nie ma tego, co potocznie nazywamy charakterem.

Teraz jednak, kiedy zamiary swoje doprowadziłam do skutku i kiedy, chodząc, nigdy rękami nie macham, nie zawsze mi się udaje ukryć to, co myślę, i nie zwracam na to tej, co dawniej, uwagi. Otóż i wtedy także, rok temu, cieszyłam się zupełnie niemądrze, że będę w ciągu całego miesiąca na statku i że zobaczę w całej okazałości urządzenie jednego z najpiękniejszych transatlantyków świata.

Pociąg, którym jechałam, przewoził tylko pasażerów linji Royal Mail, jakkolwiek jednak bacznie przyglądałam się współtowarzyszom podróży, nie zapamiętałam ani jednej twarzy, którą bym potem na statku poznała. Port w Cherbourgu jest duży i obudowany kamiennym wałem. Biały Asturias, którym miałam jechać, stał jednak już na pełnem morzu, trzeba było dojeżdżać do niego małym stateczkiem, który nas wszystkich po kolei zabierał. Asturias był, jak powiedziałam, oślepiająco biały i miał dwa nizkie i szerokie kominy. Zaraz przy wejściu do salonu rzucał się w oczy pięknie wymalowany obraz, przedstawiający wąwóz w górach i zatytułowany „Dolina Asturias” z czego wynikało jasno, że w nazwie majestatycznego statku tkwiła już pewna kokieterja skierowana w stronę Hiszpanji. Kokieterja ta miała swoje podstawy, Hiszpanja bowiem dostarczała corocznie towarzystwu duży kontyngent emigrantów, co warte było wynagrodzenia.

Zastanowiło mnie już wtedy, że towarzystwa okrętowe tak sobie cenią właśnie emigrantów, którzy opłacają przecież tylko „nędzne 100 dolarów” za przejazd, trwający prawie miesiąc. A jednak trzecią klasą właściwie żyją pasażerowie klasy pierwszej, i my wszyscy, którzy korzystaliśmy z przepychu salonów i wielkich pokładów spacerowych, żyliśmy właściwie na koszt tych duszących się w niziutkich i rozpalonych, zbiorowych sypialniach, mieszczących po pięćdziesięciu ludzi.

Ośmiocylindrowe motory Asturias produkują siłę 20 tysięcy koni, idąc nie na węglu, a na ciężkich olejach, co sprawia, że na statku nie ma zupełnie węglowego pyłu. Przypomina mi to jedną taką moją podróż z Konstantynopola do Wysp Książęcych przez Bosfor i Morze Marmara, którą, chociaż trwała zaledwie godzinę, zaczęłam w sukni białej, a zakończyłam w czarnej—słuchacze moi domyślą się, dlaczego.

Ledwo weszłam na statek i odnalazłam swoje walizki, a właściwie wykopałam je z pośród góry innych, rzucanych naprawdę bez czułości pośrodku hallu — stewardessa zaprowadziła mnie do kabiny, w której szczęśliwie samotna, bez żadnej przymusowej towarzyszki miałam przebywać. Kabina była cała lakierowana na biało, koło umywalni wisiała za szkłem piękna reprodukcja jakiegoś angielskiego pejzażu z wielkiemi drzewami. Nad białem łóżkiem biała siatka do rzeczy, dużo lamp, w kącie szafa z wielkiem lustrem.

Przebrałam się prędko i weszłam na górę do sali restauracyjnej, gdzie właśnie podawano herbatę. Asturias stał jeszcze w porcie. Przy stolikach siedziało dość różnorodne towarzystwo, między którymi dużo bardzo odprowadzających, którzy poraz ostatni cieszyli się widokiem drogich im zapewne osób.

Stanęłam w progu, upatrując sobie miejsca. Byłam tu zupełnie sama, nie znałam z obecnych nikogo, wszyscy inni, jak mi się zdawało, byli tu o wiele bardziej u siebie, niż ja. Potem zdecydowałam się poruszyć, i obchodząc w podkowę ustawiony stół, na którym ustawione były wszystkie przybory imponującego maitre d'hotela, usiadłam przy małym stoliku w głębi. Każdemu jednak, ktoby mnie w podobnym wypadku chciał naśladować, chciałabym to zgóry wyperswadować, szczególnie, jeżeli ten każdy jest samotnie podróżującą kobietą. Nic niebezpieczniejszego, niż takie zajmowanie miejsca przy stoliku, przy którym nikt jeszcze nie siedzi: nigdy bowiem niewiadomo, kto przy nim potem usiądzie.

Tymczasem usiadło dwóch panów, o których nic nie wiedziałam, prócz tego, że mi się ukłonili. Muzyka grała, na wszystkich stołach było pełno kwiatów, przyniesionych przez ludzi, którzy odprowadzali panie. Było właśnie w dobrym guście nie trzymać tych kwiatów w kabinie, tylko wystawiać je na stołach na wi-

dok publiczny, mała próbka targu próżności, jakim jest zawsze taka podróż, a szczególnie podróż do Ameryki Południowej.

Menu wieczorne czy południowe zapisane, było całą litańją potraw, z kórych można było wybierać. Po kilku dniach pobytu na statku zauważyłam, jednak, że wielu z współtowarzyszy podróży „wyjadało" poprostu po kolei wszystkie numery programu, a kelnerzy przynosili im te niesłychane ilości jedzenia z całkowitym spokojem.

STANISŁAW SIEDLECKI.

ZE SPRAW MIESZKANIOWYCH.

I. MARZENIE A RZECZYWISTOŚĆ.

Po pracy, o 4-ej jadąc z fabryki do domu, wcisnąłem się do natłoczonego tramwaju.

O siedzeniu ani mowy — zresztą i stoi człek tylko jedną nogą, a właściwie tak sąsiedzi podpierają pod boki, że wisi w powietrzu.

Ale w takim tłoku i niewygodzie to właśnie najlepiej rozmyślać o rzeczach miłych, któreby się chciało mieć, a których się nie ma.

Myślę sobie tedy:

—Przyjadę do domu, do własnego mieszkania— no niechby już, skromnie licząc, pokój z kuchenką. Mieszkanie czyściutkie, widne, ze skromnemi mebelkami. W kuchni stół na środku, wokoło stołki zwykłe, w kącie prosty sosnowy kredens na naczynie. Przez otwarte drzwi widać w pokoju łóżka nasze i dzieciaków, szafa na odzienie w ścianie, etażerka z książkami, komoda na bieliznę i umywalka w kącie. Na oknie kwiatki — czerwone pelargonje, kaktusy, fuksje.

Wchodzę do mieszkania — na stole już obiad czeka, więc się umyję i zasiądę. Dzieci i żona już zjadły, ale obsiądą mię wokoło i nuż pytać a jak to, a jak tamto w fabryce, czy w mieście... A ja wesoło opowiadam i obiad mi tak smakuje, jakbym nie wiem jakie frykasy połykał! Bo wiadomo, że jak człowiek posila się będąc w dobrym humorze, to mu najprostsze jedzenie na zdrowie wychodzi.

Potem chłopaki przy stole pod lampą wezmą się do nauki, a ja posłucham, jak się uczą i czasem im co pomogę, albo i tak pod mojem okiem, to im składniej pójdzie, bo mniej dokazywać będą. A starsza córka weźmie sobie jaką robotę i też się do nas przysiądzie; potem i żona przyjdzie i tak posiedzimy sobie do wieczora.

Albo pójdę sobie po obiedzie do sypialni i zdrzemnę się krzynkę, słuchając jak oni sobie gwarzą przy stole w kuchni.

A wieczorem, czy gdzie pójść mogę, czy poczytać, czy radja posłuchać, czy też kto przyjdzie do nas.

Tak sobie śniłem i marzyłem, ażem do domu zajechał.

W naszej suterynie zaduch i para jak w przędzalni na bielniku, bo sąsiadka—ta, co z nami suterynę odnajmuje, pierze właśnie.

Przykucnąłem na rożku stołu do tego obiadu, ale widzę, że żona jest jakaś nieswoja, więc jem ten wieczny barszcz z kartoflami, a na nią spoglądam. Niedługo czekałem, bo zaraz się zaczęła znów awantura z Kowalską.

Nie potrzebowałem o nic pytać, bo odrazu z tego wymyślania wszystkiego się dowiedziałem.

Kowalska wogóle baba niechlujna i ordynarna, garnki żonie od ognia podstawiała, ze ścierek jej, co się w garnku gotowały, do naszej zupy piana naleciała; podłogę zalała, zabrudziła. Węgiel niby do spółki, ale nie chce płacić więcej niż połowę, a przecież jak ona pierze od rana do wieczora, to ileż więcej od nas węgla wypala?

Jak sobie kobiety zaczęły dogadywać, to przypomniały wszystko, co było od czterech lat. Naubliżały sobie od djabłów, od choler i jeszcze gorzej, że wstyd powtarzać.

Ja z początku chciałem zachować spokój, by zjeść i odpocząć trochę, ale i mnie wkońcu djabli zaczęli brać. Tak mię wkońcu poderwało, żem talerzem o ziemię trzasnął, a babę w dwie sekundy za drzwi wystawił.

A z tego wszystkiego taka człowieka bezsilna złość i żałość wzięła, że choć płakać poprostu.

Bo i co zrobisz człowiecze?

Wyrzucić Kowalską... ale ona znów wlazła, bo przecież tu mieszka.

Ona też i nie najgorszy człowiek, tylko że nie możemy się z nią w tej ciasnocie zżyć.

Z tego wszystkiego masz człowiecze w fabryce ciężkie roboty, a w domu katorgę.

A te dzieciaki nieszczęśliwe, gdzież się mają uczyć?

Mydliny, brud, ciemno od pary, a od nich w szkole wymagają, żeby ani plamki w kajecie nie było.

Albo w nocy—jakiż to dla dzieci przykład w takiej suterynie?

Mówisz im: — Dzieci odwróćcie się do ściany!... Kołdrą głowę przykryj jeden z drugim!

Ale bardzo to taki posłucha.

Zresztą czyż przez tyle lat można się ustrzec w takiej ciasnocie?

Aż nieraz człekowi włosy na głowie stają ze zgrozy, jak pomyśli, co z tej dziatwy wyrośnie?

Ludzie kochani! Przecież na wsi u chłopa świniaki nawet są podzielone: oddzielnie stare, oddzielnie młodzież, oddzielnie matka z małemi, a my przecież, pono, na obraz i podobieństwo Boże stworzeni jesteśmy! *D. c. n.*

R. RUDZIŃSKA.

JA CHCĘ, BY DZIECKO MOJE BYŁO ZDROWE.

Ja chcę, by dziecko moje było zdrowe. Chowam je w czystym pokoiku, dobieram odpowiednie potrawy, dbam o jego sen, zawsze czyste powietrze i odpowiednie ubranie.

Ale dziecko mojego sąsiada zachorowało, i moje zaraziło się od tego dziecka.

Ja chcę, by dziecko moje było zdrowe...

Siedzący obok niego kolega szkolny zachorował— dziecko przyszło ze szkoły chore.

Ja chcę, by dziecko moje było zdrowe...

Piekarz, u którego kupuję bułki, był chory, a oto i dziecko moje obłożnie chore leży.

Ja chcę, by dziecko moje było zdrowe...

Zaraziło się podczas przejazdu tramwajem.

Na wsi napiło się wody z brudnej studni.

Z poza granic kraju przywleczona została ciężka choroba.

Zewsząd, na każdym kroku czyhają na moje maleństwo złe moce. Uchronić je od niebezpieczeństwa — nie mogę. Musiałabym dokonać cudu: by żadne z dzieci moich sąsiadów, lub kolegów szkolnych nie chorowało, by zdrów był piekarz i ten pasażer tramwajowy, by w studniach wiejskich nie było zakażonej wody...

Dokonać cudu? Czyż naprawdę cudem, rzeczą nieosiągalną ma być — zdrowie powszechne? Czyż naprawdę tak beznadziejną jest walka z tym wrogiem wewnętrznym — chorobą.

Nie—zwycięstwo nasze jest pewne.

Mamy przecież armję do walki z wrogiem zewnętrznym. Nikt się temu nie dziwi, zrozumieli już to wszyscy, że armja taka jest koniecznością. Biada państwu, któreby o tej armji zapomniało. Społeczeństwo wie, że ma prawo do obrony przed wrogiem, a rządy wiedzą, że jest obowiązkiem dbać o tę obronę.

Trzeba więc, by i do walki z wrogiem wewnętrznym — chorobą — stanęła wielka, mocna, mądrze zorganizowana armja. I tak, jak istnieje powszechny obowiązek wstępowanie do wojska, tak powinien istnieć powszechny obowiązek służenia i w tej drugiej armji. Żadne państwo nie może i nie powinno tej drugiej armji zaniedbać.

Armja ta miałaby bardzo różnorodne zadania. Musiałaby przedewszystkiem pobudować zdrowe, widne, słoneczne mieszkania dla wszystkich — by nie było na ziemi naszej takiego kątka, gdzieby mogła gnieździć się choroba. Musiałaby, dalej, dbać o dostarczenie zdrowego i dostatecznego jedzenia i odzienia— dla wszystkich, bowiem tylko człowiek syty i dostatecznie ubrany walczyć może skutecznie z chorobą. Wszystkim należy się troskliwa i mądra opieka lekarska. Wszędzie — w miastach i wsiach — w całym kraju, w każdym kątku panować musi wzorowa czystość i wszyscy powinni mieć czystą wodę do picia.

Powie kto, że jest to niemożliwe, by wszyscy byli syci? Dlaczego? Czy ziemia nasza za mało rodzi? Nie — ziemia nasza rodzić może i dziesięć razy tyle. Trzeba tylko, by ludzie umieli się z nią mądrze obchodzić. Więc znów nowe zadanie dla naszej armji wewnętrznej — nauczyć rolnika jak ma podnieść wydajność swej ziemi.



Tak, armja ta musi nietylko budować — musi także uczyć. Uczyć, jak żyć i jak pracować, co kochać i co nienawidzieć, co krzewić i co plenić. Do służby w tej armji przystąpić powinni wszyscy — i biedni i bogaci, i możni i maluczcy tego świata. Nikomu nie wolno uchylić się od tego obowiązku.

Bowiem — gdy ja chcę, by dziecko moje było zdrowe, dbać muszę o to, by zdrowy był mój bliźni. *Zdrowie powszechne jest warunkiem nieodzownym zdrowia jednostek.*

Trzeba, by każdy członek społeczeństwa zrozumiał tę prawdę tak prostą, a tak mało znaną. A wtedy stanie naprawdę do walki ta wielka, a tak niezbędna armja. Będzie wtedy obowiązkiem państwa, rządów i samorządów organizowanie tej armji, służba w niej będzie obowiązkową — dla wszystkich, a wszyscy będą mieli *prawo* korzystania z iej usług.

BOHDAN PAWŁOWICZ. *Z CYKLU „WARSZAWA".*

TRAMWAJ Z CZERNIAKOWA.

Powszednich dni zakrzepła, zastygła pleśń szarości,
Popiołem szarym smutku na moje pada słowa,
Prostaczy śmiech wesela i zgrzyt prostaczej złości
Codzienną troską osiadł na domy Czerniakowa.

Daleko gdzieś nie jęczy ponury płacz motoru
I słońce poprzez kurze uśmiechać się nie zmusza,
Zostały łzy poranku i został mrok wieczoru,
Została nie zszarzała i czysta ludzka...
. . . dusza.

EMILJA ZDZIARSKA.

KĄCIK PORADNICTWA ZAWODOWEGO.

OBRAZEK Z ŻYCIA PORADNI.

Do Biura Poradni przyszła matka z córką. Dziewczynka kończy 7 oddział szkoły powszechnej, trzeba nią dalej pokierować. Ojciec nie żyje. Marysia jest najstarszą z pośród licznego rodzeństwa. Matka chciałaby, żeby poszła na naukę do pracowni krawieckiej i została krawcową. Córka tylko marzy o tem, żeby być nauczycielką. Matka nie uważa zawodu nauczycielskiego za odpowiedni dla córki. Tłumaczy to tak: „Marysia jest niecierpliwa, nerwowa, jest taką w domu, widzę to przecież codzień, a zresztą tak trudno się jej uczyć teraz, w szkole powszechnej, a cóż będzie przez 5 lat w seminarjum — zamęczy się i nie da rady". Patrzę na dziewczynkę. Ma bardzo żywe, bystre spojrzenie, młodziutka bardzo (14 lat), znać, jednak, opanowywanie wrodzonej żywości. — Matka mówi dalej: „nie mam na kształcenie jej w prywatnem seminarjum nauczycielskiem, a do państwowego w Warszawie napewno nie zda, zbyt jest nerwowa, a zamało zdolna. Muszę myśleć i o młodszych dzieciach — nie mogę tylko ją jedną kształcić". „Cóż więc robić?".—Nie chcesz Marysiu być krawcową?— „Za nic na świecie" odpowiada i gorąco tłomaczy, że kocha naukę i zawód nauczycielski, czuje do tego powołanie, wprost nie wyobraża sobie by mogła coś innego robić. Bardzo rzeczowo tłumaczy swoje zachowanie w domu, że rzeczywiście jest niecierpliwa, gdy jej przeszkadzają przy odrabianiu lekcji, bo musi mieć wtedy spokój i ciszę. Rzeczywiście, niezbyt świetnie idzie jej w szkole, ale w tej szkole jest niedawno, nie poznały jej jeszcze nauczycielki — nie przyzwyczaiła się i ona sama do nowych warunków. Ale wszyscy jej przyznają, że jest pracowita (potwierdza to faktycznie opinja wychowawczyni) i wytrwała i musi dopiąć swego. Jedynym celem jej życia — to zostać nauczycielką—zapewnia bardzo stanowczo i bardzo gorąco: „Musisz się zgodzić mamusiu, ja inaczej nie mam poco żyć"!—Matka rozkłada ręce bezradnie. Widać, że dziewczynka mówi z głębi serca i przekonania, rzecz niezwykle rzadka w tym wieku, zwłaszcza, wśród dziewcząt. Trzeba jej pozwolić iść własną drogą. Przekonywa matkę przytacza wszelkie dowody, przemawiające na korzyść pracy w zawodzie nauczycielskim: zadowolenie — owocna praca — nawet zysk materjalny — szczęście osobiste. „Ależ ona nie zda — cóż wtedy?" Pytam więc, czyż koniecznie ma się kształcić tu w Warszawie, może państwo macie krewnych gdzieś na prowincji, w mieście, gdzie właśnie jest seminarjum nauczycielskie państwowe—tam łatwiejby jej było dostać się do szkoły... Olśnione widać jedną myślą matka i córka wołają równocześnie: „ależ wuj — w M.! „Pisać do niego! Jeszcze czas!" Matka ożywia się, dziewczynka promienieje, ściska energicznie piąstkę, oczy błyszczą, postać się prostuje. „A widzisz mamo będzie jeszcze dobrze".

Istnieje w Warszawie tak zwana Poradnia Zawodowa dla dziewcząt. Niedawno, bo zaledwie w roku zeszłym założona. Ma ona na celu dopomagać młodym dziewczętom w trudnej chwili obierania zawodu — służyć radą sklopotanym rodzicom: gdzie i czego mają swoje córki uczyć, aby potem łatwiej dały sobie radę w życiu. Dać córce fach do ręki, tak jak synowi,— to teraz równie ważne rzeczy, wiemy o tem wszyscy doskonale! Jednak o wiele trudniej jest znaleźć odpowiednią pracę dla dziewczynki, niż dla chłopca, i jeszcze trudniej—taką, żeby się jej podobała, żeby dała zadowolenie i zapewniła byt. Nic więc dziwnego, że trzeba dobrze się zastanowić i kogoś się poradzić, jaki zawód najodpowiedniejszy będzie dla córki. W tym właśnie celu istnieją Poradnie Zawodowe, jedną z nich jest Poradnia dla dziewcząt Stowarzyszenia „Służba Obywatelska" (ul. Górnośląska 31).

M. J. WIELOPOLSKA.

KINOKRONIKA.

MISS CAVELL.

Po wielu trudnościach ze strony Niemców, którzy żądali od naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, aby film nie był wyświetlany na polskich [ekranach, przyszedł do nas ten piękny i wzruszający obraz. Filmy zajmują się przeważnie sensacją, romansikami, konfliktami erotycznemi, bohaterstwem mężczyzn — nie było jeszcze filmów o bohaterstwie kobiety. Dlatego tak wielkie wzbudził zainteresowanie film angielski *Miss Cavell.* Miss Edith Cavell była kierowniczką szkoły świeckich pielęgniarek w Brukselli. W roku 1913 aż do wybuchu wojny, korespondowałam z nią dość intensywnie. Miałam wstąpić do jej szkoły, aby się samarytańsko przysposobić na wypadek wojny, w którą wszyscyśmy wierzyli i wszyscy w Polsce wyczekiwali, albowiem innej drogi nie mieliśmy do odzyskania naszej niepodległości. W listach swoich, miss Cavell oburzała się trochę na mnie, że pragnę wojny, przeciwstawiała jej piękne i wzniosłe hasła miłości braterskiej i pacyfizmu międzynarodowego — tłumaczyłam, zatem gorliwie, że narody ujarzmione jak my, Polacy, musimy przedewszystkiem dążyć do odzyskania wolności, a cóż ją dać może i zwrócić, jeśli nie „wojna ludów", o której marzyli nasi Poeci? Nazywała tę wojnę „moją wojną". I oto „moja wojna" wybuchła i przekonała ją, że poza górnemi hasłami miłości braterskiej, miłości bliźniego, ofiarności dla ogólnoludzkich celów — jest jeszcze Ojczyzna, jest wróg Ojczyzny, jest cel narodowy. Nie wiedziałam jeszcze podówczas, ja, ani ona, że ona właśnie głowę położy dla sprawy swojej ojczyzny — że „moja wojna" właśnie jej wytłumaczy, czem jest *wróg Ojczyzny* i sprawa ojczysta. Dnia 12.10 1915 r. w podwórzu wiezienia St. Gilles, rozstrzelali Niemcy dzielną, zacną, bohaterską pielęgniarkę angielską, za to, że przechowywała rannych i że im ułatwiała ucieczkę przez fronty bojowe. Przypięła sobie malutką dziecinną chorągiewkę angielską do piersi, aby miał cel karabin wroga. Dziś czci jej pamięć cała Euro-



SYBILLA THORNDIKE (MISS CAVELL).

pa, a Niemcy, wstydząc się swego czynu, starali się film utrącić. Film jednak mówi tylko o okrucieństwie praw wojennych, a wcale nie o okrucieństwie Niemców, bo nawet przedstawia szlachetne typy, takie jak szeregowiec Rammler (autentyczny), zastrzelony za to, że odmówił udziału w egzekucji bezbronnej kobiety, jak inni oficerowie i żołnierze. Ostatnie spojrzenie nawet posyła miss Cavell (ta z ekranu) wartownikowi niemieckiemu i ostatni jej niepokój jest poświęcony szeregowcowi Rammlerowi. Miss Cavell odtwarza wielka tragiczka angielska Sybilla Thorndike, która niedawno kreowała tak genialnie Joannę d'Arc Shawa. Trzeba zaiste całych studjów nad tą arcy szlachetną grą, nad tem umiarkowaniem, nad powściągliwością, nad rozplanowaniem rosnącej intensywności dramatycznego napięcia. Jak łatwo tu popaść w patos, w melodramat, w afektację, zwłaszcza w scenie kaźni! Sybilla Thorndike nie próbuje tanich efektów ekspresyjnych i wzruszeniowych. Nie przewraca dumnie białkami oczu, pozując na bohaterkę, nie! Sybilla Thorndike jest „ludzką" naskroś, do końca! Po ludzku załamuje się jej serce lękiem śmierci, ręce jej zaciskają się kurczowo i nerwowo, oczy cofają przed widokiem karabinów, głowa z wysiłkiem się podnosi, aby przecież zachować swą godność „narodową" i kobiecą. Działa tu artystka najpowściągliwszemi środkami, działa jednak piorunująco jako same wrażenia. Przytem jest tak szalenie podobna zewnętrznie do miss Cavell, że nie mógł sobie Wilcox, reżyser angielski, dobrać typu odpowiedniejszego. Liczyć przecież się musiał, że wszyscy w Belgji pamiętają jeszcze szlachetną pielęgniarkę, że znają ją w Anglji i we Francji, że legenda jej jest zbyt świeża jeszcze, aby mogła być oglądaną w zimnej perspektywie retrospektywności dziejowej. Sybilla Thorndike odpowiedziała wszystkim wymogom sytuacji wyjątkowej i stworzyła typ niezapomniany, złożyła hołd serca kobiecego kobiecie bohaterskiej, kobiecie-obywatelce swego kraju, wiernej w służbie narodowej, tak jak była wierną w służbie ludzkości. Z filmów ostatnio w Warszawie wyświetlanych, jest to film najwybitniejszy, tak pod względem wartości pedagogicznej, etycznej, jak i pod względem artystycznym. Oby go jaknajwiększe rzesze oglądały w kraju!

ŚWIAT W PROMIENIU TYGODNIA.

Stara babcia — Europa nie może przyjść do siebie po konwulsjach wielkiej wojny. Rzuca się jeszcze, drży i kto wie, czy mimo wszystkich „doumów", „paktów Kelloga" i t. p. manifestacyj pokojowych, nie spłata ludziom szpetnego figla i nie zabawi się ponownie w wojnę lub jaką dokumentną rewolucję.

Tu i tam zbierają się już ostrzegawcze chmury i pierwsze grzmoty podziemne napędzają stracha wszystkim ludziom, spokojnym, a pragnącym żyć i uczciwie pracować.

Nie brak lekarzy, którzy starają się wyleczyć Europę z jej wstrętnego choróbska. Temi lekarzami są przeróżni ekonomiści i politycy poszczególnych państw i krajów. Każdy podaje inną receptę i każdy inne stosuje lekarstwa, jak dotąd z bardzo problematycznemi skutkami.

Rosja bredzi wciąż w krwawej gorączce bolszewizmu, a pomruki niezadowolenia i niezgody dają się słyszeć coraz wyraźniej. Walka „trockistów" ze „stalinowcami" przybiera formy coraz ostrzejsze, a ostatnio nawet kat wygnał kata i Trocki wypędzony przez „czerwonego dyktatora" wyjechał wraz z rodziną do Turcji. Przyszłość stoi pod znakiem zapytania.

Jugosławia poszła inną drogą, wzorując się na Italji i Hiszpanji: król zawiesił konstytucję i ogłosił się monarchą samodzierżawnym. Narazie skutki są dobre, bo rozpanoszeni spekulanci polityczni albo dostali się do kozy, albo zmuszeni są milczeć.

I tu nie można bawić się w proroka. Przyznać trzeba jednak królowi Aleksandrowi Jugosłowiańskiemu, że umiał postawić sprawę prosto i jasno.

Gmatwaniu stosunków i ubieraniu się w owczą skórę zawdzięcza jeden z dyktatorów Europy wielkie kłopoty, które o mało nie wyrwały mu z rąk władzy, a jego monarchę o mało nie wysadziły z tronu.

Generał Primo de Rivera chwycił ster rządów Hiszpanji podczas przewlekłej, a niezawsze szczęśliwej wojny hiszpańsko-marokańskiej—ściśle mówiąc, wojny z powstańczemi plemionami Riffu, walczącemi pod dowództwem Abd-el-Krima.

Wojna ta smutnoby się zakończyła dla wojsk hiszpańskich, gdyby Abd-el-Krim nie zaczepił nieopatrznie Francji, a mocarstwo to nie zgniotło walecznego wodza berberyjskich koczowników. Wojna ta prowadzona nieudolnie i ospale, wyniszczyła Hiszpanję finansowo i moralnie, a państwo stanęło w przededniu bankructwa i rewolucji.

Generał Primo de Rivera umiał temu zapobiec i ująwszy rządy w swe żelazne ręce, tchnął w zmurszałe ciało królestwa nowego ducha. Jednakże: „kij ma dwa końce", a „każdy medal odwrotną stronę".

Rozpoczęły się prześladowania wszystkich tych, którzy inaczej myślą. Obok rozumnych reform i rozporządzeń pojawiły się rozkazy administracyjne, ograniczające resztki swobód obywatelskich i znoszące wolność osobistą jednostek.

Wielu wybitnych ludzi emigrowało, lub skazanych zostało na wygnanie, a w całym kraju rosło coraz bardziej niezadowolenie i rozgoryczenie. Nastrój ten wzmacniał się z roku na rok, aż nakoniec doprowadził do wystąpień czynnych.

Niektóre garnizony hiszpańskie zbuntowały się, a w miastach Cintad, Real i Valencji doszło nawet do utarczek. Ruch ten miał wszelkie pozory ruchu rewolucyjnego — republikańskiego, lecz był dość słabo przygotowany i, jak sądzić można z dotychczasowych depesz, spalił na panewce.

Odwieczne źródło hiszpańskich rewolucji, separatystyczna i odmienna językiem Katalonja nie poparła rokoszu, a na nią zdaje się powstańcy liczyli najbardziej. Tak więc, Primo de Rivera narazie triumfuje...

W drugim końcu Europy Litwa pozazdrościła Hiszpanji i władza operetkowego dyktatora Waldemarasa chwieje się coraz bardziej. Nie pomagają jej nawet energiczne sprostowania urzędowe w prasie całego świata że... na Litwie panuje spokój, a generał Plechowiczjus dostał grypy i dla tego musiał uciekać poza granice Litwy.

Jednym słowem babcia Europa trzęsie się w ustawicznej febrze i nie pomaga jej nawet miód moskiewskiego niedźwiedzia, który schował granat i bagnet pod kożuch, udając baranka i anioła pokoju... Rosja Sowiecka gwałtownie napiera na Rząd Polski, aby ten podpisał osobny pakt wzajemnego nieatakowania się, jeszcze przed ogólną manifestacją tego rodzaju, która według projektów amerykańskiego senatora Kelloga, odbyć się ma w Waszyngtonie, przy udziale wszystkich państw świata.

Rząd Polski oczywiście zgodził się na to, bo nikt tak nie pragnie stałego i trwałego pokoju jak Rzeczpospolita Polska. Postawił tylko warunek, aby pakt ów objął wszystkie państwa europejskie, sąsiadujące z Rosją, a więc Finlandję, Estonję, Łotwę, Litwę i Rumunję.

Niedźwiedź skrzywił się, ale niezgodzić się nie mógł, bo pragnie uchodzić za baranka, a pilno mu do amerykańskich dolarów, które zamierza pożyczyć w najbardziej „burżuazyjnym" kraju na świecie.

Tak więc na brak wiadomości w dziennikach uskarżać się nie można.

Bep.

KONTREWOLUCJA W AFGANISTANIE.

Na tle zbyt energicznej europeizacji półdzikiego Afganistanu powstały przeciw władzy królewskiej sfanatyzowane, koczownicze plemiona afgańskie. Próba błyskotliwej i pośpiesznej cywilizacji skończyła się narazie katastrofą wojny domowej, w której król po akcie abdykacji ponownie walczy o swe prawa do tronu.

Jest rzeczą charakterystyczną, że domowe walki afgańskie znajdują się w sferze wpływów dwuch potęg politycznych Europy. Amanullach zbyt długo siedział w Moskwie, aby Anglja spokojnie patrzeć mogła na wzrastające wpływy rosyjskie w kraju, który leży w najbliższem sąsiedztwie Indji.

I oto po stronie Amanullacha działa Rosja sowiecka, państwo, które zaskoczyło nas podpisaniem paktu Kelloga... Przeciw królowi występują ukryte siły angielskie, a więc siły państwa, będącego główną podporą Ligi Narodów.

Domowy konflikt Afganistanu jest zarazem, a może przedewszystkiem, walką o zdobycie w kraju tym sfery wpływów pomiędzy państwami europejskiemi, z których każde z osobna i oba razem manifestują zgodnie przy każdej okazji na rzecz idei pokoju...

RZECZY CIEKAWE.

ZAWROTNA SZYBKOŚĆ 575 KLM. NA GODZINĘ.

Potulniutkie Niemcy — wilk w owczej skórze — budują obecnie we Fridrichshafen samolot, który osiągnąć ma szybkość 575 klm. na godzinę. Nie jest to nic nieprawdopodobnego, gdyż istnieją już samoloty wyścigowe, latające do 500 klm. na godzinę.

Kto choć raz jechał samochodem z szybkością 100 klm. może sobie wyobrazić co to będzie za piekielna szybkość 575 klm., a więc blisko sześć razy większa!

Z Warszawy do Krakowa i zpowrotem w ciągu 1 (wyraźnie; jednej!) godziny, gdy obecnie koleją na odbycie tej drogi traci się 16 godzin, jadąc pociągiem pośpiesznym.

Coprawda nie mamy jeszcze linji kolejowej, którąby biegła po najkrótszym szlaku Warszawa—Kraków.

ZATONIĘCIE POLSKIEGO PAROWCA WĘGLOWEGO „ROBUR II".

Polska flota handlowa poniosła dotkliwą stratę. Podczas burz, które szalały nad Bałtykiem, zatonął u wybrzeży Szwecji polski statek handlowo-węglowy „Robur II" pojemności z górą 2000 tonn.

Od narodzin młodej marynarki handlowej polskiej to jest od r. 1920 zatonęły już 3 większe statki: „Wisła" (dawna), „Kraków" (dawny) i „Robur II", oraz jeden holownik „Górnik".

Procentowo są to straty dość ciężkie.

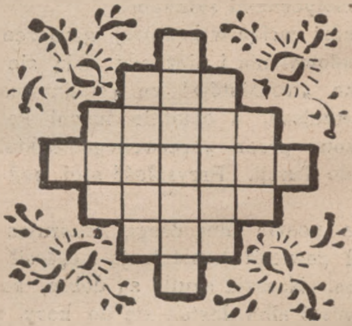
ROZRYWKI UMYSŁOWE.

MAGICZNY KWADRAT UŁ. P. CZESŁAW GOŁĘBIOWSKI.

1	4	6	3	6
5	5	1	4	3
6	2		1	2
1	2	3	6	5
4	2	3	5	4

Podany kwadrat należy podzielić na cztery równe części, tak, aby w każdej części suma cyfr była jednakowa.

GWIAZDA UŁ. P. JERZY ŻARSKI.



W podaną figurę wpisać siedem poziomych wyrazów, o niżej podanem znaczeniu. Rząd pionowy środkowy da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska, 2 Rodzaj smoły, 3 Błoto, 4 Strzelba, 5 Medal, 6 Część sztuki, 7 Samogłoska.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji 163-32, Tel. administracji 517-35.
Redakcja otwarta codziennie od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. --,95, Kwartalnie Zł. 2,85, Półrocznie Zł. 5,70, Rocznie Zł. 11,40

Zakłady Graficzne „WUZET"—Miodowa 23, Tel. 140-17.